

51)

PAMIĘTNIKI EDWARDA GORONA

b. prefekta paryskiej policji śledczej.

(Ciąg dalszy).

ROZDZIAŁ VI-y

PRADO.

Marja Aguetan i „amerykanin”. — Morderstwo przy ul. Caumartin. — Kradzież w „Hôtel du Palais”. — Aresztowanie Prado. — Jego kochanki. — Zeznanie Eugenji Forestier. — Maurisetta Couronnau. — Konfrontacja z umierającą. — Sędzia śledczy Gilliaud udaje się do Hiszpanii. — Małżonka Prado. — Chyblony plan ucieczki. — Autobiografia Prado. — Jego obrona sądowa. — Egzekucja. — Kim był Prado?

W początku 1886 roku, wśród odwiedzających „Amerykańską Kawiarnię”, zwracała na siebie szczególną uwagę pewna dama z półświatka, Marja Aguetan, znana ze swoich brylantów i wytwornych tualet. Mieszkała ona przy ul. Caumartin, gdzie w domu pod № 92, zajmowała niewielkie, ale wytwornie urządzone mieszkanie. Śród przyjaciółek swych cieszyła się opinią kobiety „solidnej”, ponieważ, oprócz rozmaitych kosztowności i brylantów, w które się często przystrajała, była ona posiadaczką dość znacznego kapitału, złożonego z bankowych i loteryjnych biletów, które ukrywała w swej szafie lustrzanej. Aczkolwiek Aguetan miała tylko jednego „urzędowego” opiekuna, kasjera X, to jednak okoliczność ta nie przeszkadzała jej, oczywiście, przyjmować u siebie rozmaitych „przypadkowych” gości, których spotykała w „Edenie” albo w „Amerykańskiej Kawiarni”.

Wieczorem, w d. 14 stycznia 1886 roku, widziano Marję Aguetan po raz ostatni w „Edenie”, odkąd wyszła około dziesiątej z mężczyzną, odzianym w jasne palto i mającym na głowie niską pilśniową czapkę. Osobnik ów, którego nazwisko nie było wiadome, był jednym ze stałych bywalców „Edenu” i Marja Aguetan nazywała go często swoim „amerykaninem”; pod tem przezwiskiem znaly go wszystkie jej przyjaciółki.

W mieszkaniu jej, przy ul. Caumartin, dokąd niebawem przybyła wraz ze swoim towarzyszem, spotkała ich pokojówka, która zapaliła lampę i następnie przygotowała w sypialni łóżko. Była to Barbara Burg, alzatka, która nastąpiła do Marji Aguetan wszystkiego zaledwie na parę dni przedtem i nie znała z twarzy nieznanego przybysza. Zapalając lampę, usiłowała przyjrzeć się mu, ale on, jakby naumyślnie, ciągle się odwracał plecami do światła.

Tymczasem Marja Aguetan rozbierała się w swej sypialni i była już niemal rozdziana, kiedy pokojówka wyszła do kuchni. Tu usnęła ona, zapewne mocno, na krześle, ponieważ gość, jak się następnie okazało, wyszedł z mieszkania, przez nikogo nie dostrzeżony. Około drugiej w nocy Barbara Burg obudziła się i, spojrzawszy na zegarek, powiedziała do siebie:

— Oj? oj? oj? co to teraz będzie? Przecie zaraz powinien przyjść stary?

W samej rzeczy „urzędowy” kochanek Marji Aguetan, pan X, przychodził zazwyczaj do niej, wkrótce po drugiej w nocy. Pokojówka podeszła do sypialni i lekko zapukała, ale, nie otrzymawszy odpowiedzi, przelekła się i zbiegła na dół do odźwiernej, ażeby ją prosić o „radę”.

— Siedź panna spokojnie, — powiedziała jej odźwierna, — wszystko się samo ułoży: niech się panna nigdy nie wtrąca do cudzych interesów.

Pan X. przyszedł dopiero około czwartej rano i został zdziwiony, zastawszy drzwi frontowe otwarte. Otworzywszy mieszkanie własnym kluczem i wszedłszy do kuchni, dowiedział się od mieszkającej pokojówki, że „u pani jest jakiś pan”. Rozwścieczony kochanek szybko zwrócił się do sypialni, do której drzwi dopiero z trudnością udało mu się otworzyć, ponieważ były one od wewnątrz zabarykadowane przez łóżko. Wszedłszy do pokoju, dostrzegł Marję Aguetan leżącą bez ruchu na dywanie i, mniemając, że omdlała, pochylił się, aby pośpieszyć jej z pomocą. Ale, usiłując podnieść ją z posadzki, dostrzegł nagle z przerażeniem, na jej szyi, straszną ranę, i głowa jej, niemal oddzielona od tułowia, upadła w tył. Cały dywan był zalany potokami krwi. Ale w pokoju nie było widać żadnego nieładu: nawet łóżko jej nie było pomięte; na krześle leżała jej suknia, a spódnica — na posadzce, nieopodal od ciała zamordowanej.

Napad został prawdopodobnie dokonany z tyłu, podczas gdy Marja Aguetan zajęta była rozbieraniem się. Sekcja lekarska stwierdziła, że morderca, stojący po za swą ofiarą, podług wszelkiego prawdopodobieństwa, przechylił w tył jej głowę i „zadał jej ranę nader ostrym narzędziem”. Główne arterje zostały przecięte i wylew krwi spowodował śmierć tak szybko, że ofiara nawet nie zdążyła krzyknąć.

Na ciele nie stwierdzono żadnych objawów gwałtu, z czego można było wnioskować, że między mordercą i jego ofiarą nie było żadnej walki. Dokonawszy przestępstwa, zabójca, widocznie, nie tracił czasu na napróżne poszukiwania, ale z całą pewnością człowieka, dobrze obeznanego z sytuacją, zwrócił się wprost do szafy lustrzanej, do której drzwi znaleziono otwarte.

Na jednej z półek leżał futerał od brylantowego naszyjnika, stanowiącego własność zmarłej; w otwartej szkatułce znaleziono woreczek, również pusty, rozcięty ostrym nożem i z boku rozdarty.

W szkatułce tej, jak to zeznał kasjer X, Marja Aguetan przechowywała pudełka z brylantami, w woreczku zaś trzymała złotą biżuterję i inne kosztowności, bilety loteryjne i gotówkę na sumę około trzech do czterech tysięcy franków.

Zgarnawszy pieniądze, brylanty i wszystkie kosztowności, morderca przysunął łóżko do jednych z drzwi i sam przeszedł przez drugie do pokoju, sąsiadującego z salonikiem i zamknął go na klucz. Wyszedł z mieszkania, nie dostrzeżony przez pokojówkę i odźwierną, która przez sen machinalnie pociągnęła za sznurek i wypuściła nieznanego na ulicę.

Na miejscu przestępstwa morderca nie zostawił żadnych śladów i najstaranniejsze poszukiwania w mieszkaniu zamordowanej nie doprowadziły do żadnego odkrycia, na podstawie którego można byłoby stwierdzić choćby jakikolwiek przymiot albo jaką odznakę prze-

stępca. Oto powód, dla którego w sprawie tej wszystkie poszukiwania władz sądowych pozostawały przez długi czas bezowocne.

Podczas dokonania tego przestępstwa, nie służyłem jeszcze w Wydziale Śledczym i, kiedy następnie, dzięki przypadkowi, przestępca został aresztowany, zajmowałem się bardzo mało tą sprawą, ponieważ znajdowała się ona w rękach sędziego śledczego Gilliaud'a i policja śledcza nie brała udziału w zatrzymaniu mordercy. Nie mniej jednak nie mogę przemilczeć o tej sprawie, ponieważ stanowi ona jakby dopełnienie sprawy Pranziniego, z punktu widzenia psychologii owych morderców upadłych kobiet i przytem w obu wypadkach wykazuje wszystkie trudności, z którymi zmuszona jest zmagać się policja, kiedy zachodzi potrzeba poszukiwania przestępcy, którego osobistość zgola jest nieznana.

Naczelnikiem policji śledczej był naówczas pan Taylor, który, będąc zajęty innemi rzeczami, poruczył śledztwo w sprawie Marji Aguetan agentowi Printzowi. Ten jednak nie osiągnął żadnych rezultatów. Do policji śledczej sprowadzono wszystkie damy, odwiedzające restauracje nocne i wszystkie owe niewiasty złożyły nader niejasne zeznania o tajemniczym „amerykaninie”, którego nazwisko pozostało jednak nieznane. Paru agentów dniem i nocą czuwało w pobliżu „Edenu”, tudzież „Amerykańskiej Kawiarni”, w nadziei dostrzeżenia tajemniczego bywalca, ale dni upływały za dniami, a ten, naturalnie, ani myślał o powrocie do owych, niebezpiecznych dla niego miejsc. Oznaki szczególne wszystkich kosztowności, zrabowanych u Marji Aguetan, zostały opisane i rozesłane do wszystkich prefektur i do wszystkich jubilerów, ale i to nie doprowadziło do żadnych rezultatów. Słowem, morderca przepadł jak kamień w wodzie; o sprawie tej już przestano mówić i tylko podczas aresztowania Pranziniego, znowu wspomniano o morderstwie przy ul. Caumartin i to nie na długo. Rzeczą polegała na tem, że pewien jubiler poznał w Pranzinim owego osobnika, który proponował mu kosztowności, podobne, podług opisu, do precyozów, należących do Marji Aguetan; ale niebawem stwierdzono, że Pranzini nie mógł być w Paryżu, w dniu morderstwa przy ul. Caumartin i, że nawet nie znał zamordowanej.

W jakieś pięć miesięcy, po straceniu Pranziniego, w d. 28 listopada, około godziny dziesiątej wieczorem, patrol agentów usłyszał zniekacka okrzyki: „Trzymaj złodzieja!” i jednocześnie dostrzegł osobnika, który wybiegł z „Hôtel de Palais”, porzucił jakąś szkatułkę i pierzchał przed ścigającymi go hotelowymi lokajami.

Kiedy ci już go dopędzali, nieznajomy zwrócił na nich lufę rewolweru i skorzystawszy z chwilowego odrętwienia ścigających, szybko dobiegł do wybrzeża Sekwany i zdążyłby zapewne skryć się w mgłę, kiedy nagle poczuł, że schwytał go w poprzek tułowia policjant, nadbiegający, wraz ze swoim kolegą, w celu przecięcia mu drogi. Nie mówiąc ani słowa, nieznajomy wystrzelił, przykładając lufę do głowy policjanta i kulą, trafiwszy w prawą szczękę, wyszła po za uchem.

Policjant Moumont należał do szeregu owych skromnych bohaterów obowiązku, którzy przy wypełnieniu swej powinności nieustraszenie patrzą śmierci w oczy: o ile tylko chodzi o ocalenie człowieka albo o zatrzymanie przestępcy, nigdy nie boją się niebezpieczeństwa i, nie namyślając się po dwadzieścia razy, ryzykują życie swe, za niecałe dwa tysiące franków pensji.

Takim był sierżant Moumont, który, cały ociekając krwią, nie wypuszczał jednak z rąk pochwyconego osobnika i, kiedy mu podażyli na wyrękę kolega, pomógł mu związać przestępcę, poczem stracił przytomność, od znacznego upływu krwi.

Aresztowany oświadczył przy badaniu, że się nazywa Prado-y-Ribo, ale odmówił wskazania miejsca zamieszkania i wszelkich dalszych wyjaśnień.

Śledztwo pierwiastkowe wykryło jednak dość osobliwe rzeczy. Okazało się, że ów Prado przybył do „Hôtel de Palais” z pustą walizką i wkrótce zeszedł się z niemniej tajemniczym osobnikiem, niejakim Lorenzo, który uciekł z hotelu po opisanem zajściu i już tam nie powrócił. Dowiedziawszy się, że Lorenzo, wskutek jakichś ciemnych sprawek, porzucił Hiszpanję i że wiezie ze sobą niewielką szkatułkę z drogimi kamieniami, Prado, podawszy się za handlującego kosztownościami, jął z nim mówić po hiszpańsku i wkrótce oczarował żonę i córkę Lorenzo.

Wieczorem 28 listopada zaproponował im bilet honorowy do teatru „Châtelet”, otrzymany, jakoby dzięki stosunkom w świecie dziennikarskim; w istocie zaś okazało się, że kupił ową lożę za 45 franków, poczytując to za najlepszy sposób usunięcia właścicieli szkatułki, do której już dawno był się dobierał.

Około dziesiątej wieczorem, podczas kiedy cała rodzina Lorenzów była już w teatrze, wszedł do ich numeru. Ale tu oczekiwała go niemila niespodzianka, okazało się, że jeszcze rankiem tego dnia, Lorenzo nabył żelazną skrzynkę, w której zamknął szkatułkę. Otworzenie jej przy pomocy wytrychu było dziełem jednej chwili, ale, rozwarłszy skrzynkę, dostrzegł, że szkatułka była jeszcze przyskrubowana do jej dna. Trzeba było zająć się jej odkręcaniem, co wymagało wiele czasu i spowodowało hałas, który zwrócił uwagę służby. Jeden z korytarzowych lokajów, niejaki Sambou, został nieco zaniepokojony, dostrzegłszy, że nowy lokator wszedł do numeru, zajętego przez Lorenzów, podczas nieobecności całej rodziny. Postanowił obserwować Prado.

Wówczas ten, wyszedłszy z numeru, zwrócił się do lokaja ze słowami:

— Proszę posłać po karete, i kazać posłańcow. znieść tę skrzynkę, która jest bardzo ciężka i postawić ją w karecie.

— Przepraszam pana, — odparł lokaj, — ale pan nie miał ze sobą tej skrzynki, kiedy pan przybył do hotelu?

— To nie pańska sprawa! — odpowiedział Prado czelnym tonem. — Proszę sprowadzić mi karete, na dole wszystko wyjaśnię.

(D. c. n.)